

Ministerstwo Sportu i Nauki?

Zmiana klimatu – OZIĘBIENIE

Zwykle z rozpoczęciem nowego roku akademickiego szeroka opinia publiczna była epatowana przez środki przekazu fenomenem nieustannego rozwoju szkolnictwa wyższego. Z roku na rok wzrastała liczba studentów, powstawały nowe uczelnie, mimo kryzysu oddawano do użytku nowe obiekty dydaktyczne. Prasa ubolewała jednocześnie nad spadającymi nakładami na polską naukę i edukację. Po przemianach roku 1989, a zwłaszcza po wejściu w życie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym (1990 r.) z sympatią komentowano przemiany. Cieszą się nadrabianiem wieloletnich opóźnień w wykształceniu Polaków, a kiedy nad Polską zawisła groźba bezrobocia, jego antidotum upatrywano właśnie w rozwoju edukacji i dostosowaniu profilu wykształcenia do rynku pracy. Tak więc uczelnie były jednym z narzędzi walki z tą najdotkliwszą plagą społeczną. I swoistą przechowalnią, jak eufemistycznie nazywano odroczenie produktywności w zamian za lepsze przygotowanie zawodowe. Kiedy kilka lat temu zauważono, że wśród bezrobotnych także zwiększa się odsetek ludzi z wyższym wykształceniem, entuzjazm przygasł. I trzeba przyznać, że sympatia wokół szkolnictwa wyższego trwała, choć sporadycznie opinia publiczna dowiadywała się o patologiach dręczących system edukacji na najwyższym, akademickim poziomie.

Teraz coraz częściej zwraca się uwagę, że obowiązująca ustawa dopuszczająca wyższe szkolnictwo niepubliczne, jakkolwiek zwiększyła dostęp do wyższego wykształcenia, to jego jakość pozostawia wiele do życzenia – tak w sferze publicznej, jak i prywatnej. To prawda, że nowa ustawa zwiększyła zakres demokracji w zarządzaniu uczelnią, ale poza tym niewiele zmieniła w zastanym ustroju uczelni. Profesura stanu upadku nauki i badań upatruje głównie w zmniejszających się nakładach na tę sferę działań społecznych. Ale czy tylko to jest przyczyną słabości?

Tegorocznej inauguracji towarzyszyły zgoła odmienne głosy opinii publicznej: świat akademicki jest zmurszały, funkcjonujący w anachronicznych, feudalnych strukturach, przesiąknięty nepotyzmem korporacji profesorskiej, mianowanej dożywotnio, a nie rozliczanej za wyniki naukowe, innowacje są pozorowane, zresztą i tak pozostają na papierze. Opiniotwórcze tygodniki prześcigały się w wyliczaniu akademickich grzechów głównych (*Polityka* już w tytule obwieściła *Zmierzch uniwersytetów*). Złożyło się na to kilka przyczyn.

Opinia publiczna szeroko otworzyła oczy, kiedy ogłoszono światowy ranking, w którym najlepsze polskie uczelnie uplasowały się pod koniec czwartej setki listy, w tym czasie ujawniono też kilka „świeżych” afer korupcyjnych (jak ta w Uniwersytecie Gdańskim).

Dziennikarze opiniotwórczej prasy są coraz bardziej poddani presji niezależnej opinii publicznej, wyrażanej na popularnych portalach internetowych, która nazywa rzeczy po imieniu, w języku dalekim od parlamentaryzmu, posługuje się egzemplifikacją negatywnych zjawisk występujących na uczelniach, a zło potrafi wymienić nawet z nazwiska. Kiedy więc dziennikarz umieszcza artykuł w witrynie internetowej swej gazety, spontanicznie uruchamia się forum opinii, owo medium bezpośredniej demokracji, o której do niedawna nie śniło się nawet znawcom ustroju państwowego.

Mamy coraz większą swobodę w naukowej wymianie zagranicznej, a ci, co wyjeżdżają mogą się zapoznać nie tylko ze stanem nauki światowej w swej dziedzinie, ale również w mechanizmach sterujących systemem nauki i szkolnictwa wyższego.

Coraz powszechniejsza wreszcie jest świadomość, że pomyślność gospodarza, zamożność państwa i jego obywateli zależna jest od rozwoju nauki. Wpatrzeni w Zachód Polacy bodaj bardziej oczekują dobrobytu niż rozwoju demokracji, bo ta, z którą mają do czynienia na co dzień – nie spełniła ich oczekiwań. To jeszcze jeden powód, by na polską naukę patrzeć sceptycznie.

Tem sporu ustrojowego, który coraz wyraźniej przybiera na sile, jest dyskusja o nowym prawie o szkolnictwie wyższym. Do parlamentu trafiły dwa projekty ustawy – jeden zwany prezydenckim (bo pod auspicjami głowy państwa był przygotowany), drugi – poselski. Zwolennicy radykalnych zmian idą znacznie dalej – chcą, by organizm akademicki upodobnić do systemu amerykańskiego. Skoro waga nauki amerykańskiej waży na szali tyle, co cała Europa razem wzięta – twierdzą – warto się choć zastanowić. Co zatem stanowi o sile Ameryki? Niewątpliwie konkurencyjność – system okresowych kontraktów z uczonymi, którzy w każdym okresie kontraktowym muszą wykazać się wartościowym dorobkiem innowacyjnym będącym w polu zainteresowań nauki i uczelni. System anglosaski nie zna instytucji habilitacji – w Polsce pierwszego kroku do samodzielności naukowej. Tęgo stopnia naukowego nie osiągną na pewno ci, co nic nie robią – zauważają obrońcy dotychczasowego systemu awansu naukowego. Po co komu publikacje, które choć zawierają element sprawności warsztatowej naukowca, są z reguły przyczynkarskie i zalegają półki bibliotek – twierdzą oponenci. Nie stanowią istotnego wkładu w naukę, rozmijają się z potrzebami społecznymi i gospodarczymi, czy szerzej – cywilizacyjnymi. Trzeba tylko podnieść znacznie wyżej poprzeczkę przy doktoratach.

W Stanach Zjednoczonych profesorem (na kontrakcie) może zostać uzdolniony trzydziestolatek, posiadający stopień doktora, w Polsce profesura możliwa jest z reguły po pięćdziesiątce, za to dożywotnio, bez potrzeby wykazywania się dalszymi osiągnięciami. Ów amerykański trzydziestolatek, by mieć przedłużony kontrakt – musi się nieustannie wykazywać „świeżym” dorobkiem, bo jest to po prostu warunek konieczny dalszego zatrudnienia. Kreatywność nauki amerykańskiej jest zgodna z biologią człowieka, który zwykle po trzydziestce osiąga pełnię potencji twórczej, najwyższą zdolność psychofizyczną i intelektualną. Polskiemu profesorowi zaś – znowu z uwagi na biologię – bliżej do apteki niż do biblioteki. Oczywiście istnieją wyjątki, ale stanowiące znikomy odsetek profesorskiej populacji i te nazwiska świat polskiej nauki zna. Wypada się zgodzić z twierdzeniem, że profesor profesorowi nierówny. Jeden legitymuje się znaczącymi osiągnięciami na międzynarodowej arenie, drugi jest zaledwie wyrobnikiem dydaktycznym, ale jeden i drugi korzysta z przywilejów stanu profesorskiego. A te przywileje – to głównie dożywocie w zatrudnieniu i pensum wynoszące 6 godzin w tygodniu. I jeśli przeciwko przywilejom wobec tuzów nauki nikt nic nie ma, to w przypadku miernot profesorskich – wręcz przeciwnie. W końcu profesorem nie zostaje się za karę.

Sitą amerykańskiej nauki – twierdzą dalej zwolennicy radykalnych zmian – jest obowiązek krytycznego myślenia, na który tak chętnie powołują się polscy uczeni, jednak jest to postulat martwy, bo krytyki naukowej praktycznie nie uświadczysz, a o awansie decydują koterie koleżeńskie i towarzyskie. Nie ma jawnego postępowania w sprawach awansów naukowych – Centralna Komisja jest sądem kapturowym, a postępowanie niejawne.

Może więc to być instrument (a znawcy twierdzą, że w istocie jest) blokady dla uzdolnionej młodzieży naukowej (jednak młodzieży – choć almanachy młodej poezji polskiej zawierają nazwiska osób po pięćdziesiątce!). W Stanach Zjednoczonych przeciwnie – każde takie postępowanie (i na każdym szczeblu) jest jawne i można się od niego odwołać. W Polsce, co prawda, też można się odwołać, ale od samego werdyktu, nie zaś uzasadnienia, które delikwentowi nie jest znane, bądź zawiera zbyt ogólne twierdzenia, z którymi trudno polemizować. Nieznane jest też nazwisko osoby, która utraciła kandydaturę (słusznie czy też nie).

Trudno więc liczyć, że gremium profesorskie zgodzi się na jakiegokolwiek zmiany, bo te nie są w interesie korporacji, do której należą. Ustawę trzeba przyjąć nie oglądając się na lobby profesorskie, grupę *trzymającą władzę w nauce*, bo tylko tą drogą mogą nastąpić korzystne zmiany. Zresztą ze środowiskiem nie ma co rozmawiać, to ludzie zabiegani, z jednego etatu na drugi, wydeptujący ścieżki kariery, a kiedy mowa o *ethosie* akademickim, kwaśno się uśmiechają – podsumowują swe wnioski zwolennicy reform.

Cieszymy się, że pod rządami obecnej ustawy liczba kształconych zwiększyła się pięciokrotnie i sięga już dwóch milionów osób. Ale publicyści zwracają uwagę na drugą stronę medalu – ilość przechodzi (wbrew klasykom!) w bylejakość. Proces kształcenia stał się anonimowy – zamiast relacji Mistrz – uczeń obowiązuje teraz inny: sprzedawca wiedzy – klient. Spośród uczelni prywatnych (a jest ich już blisko 400), markę jakości kształcenia trzyma nieleddie 30, zaś szkoły publiczne stały się kombinatami dydaktycznymi, bo system finansowania zmusza do zwiększonego naboru, głównie na płatnych studiach zaocznych. W tym samym okresie kadra naukowa przyrosła jedynie o 20 proc. i w tej relacji zawiera się już wszystko, co o jakości kształcenia można powiedzieć. Owa jakość pozostaje tylko programem, skoro nawet w warszawskiej SGH nie znają przypadku odsunięcia od dydaktyki profesora, który w ankietach studenckich uzyskał komplet ocen negatywnych. Nierzadkie są przypadki, kiedy na jednego promotora przypada kilkaset prac dyplomowych (a jest on jeszcze z reguły recenzentem innych prac). To dlatego promotorom umykają ordynarne plagiaty prac dyplomowych, które zresztą można kupić. Uczelnie prywatne, choć w statystyce kształcenia odgrywają ważną rolę, stanowią dla profesury publicznych szkół wyższych jedynie źródło dodatkowych dochodów. I dlatego orędownicy radykalnych zmian zauważają, że są to – obok komercjalizacji studiowania – jedyne „kapitalistyczne” elementy obowiązującej ustawy. Wieloetatowość jest jednak daleko głośniejsza w skutkach jako przyczyna zaniechania uprawiania nauki i prowadzenia badań. Nie sprzyja to naturalnie także jakości dydaktyki, którą trudno prowadzić na kilku etatach. Słabość dydaktyki i zaniechanie działalności naukowej spowodowały w społecznej ocenie spadek profesorskiego prestiżu, a jeszcze niedawno profesor wyższej uczelni lokował się na czele zawodów budzących najwyższy społeczny szacunek. Zastanawiające jest, że na studiach podyplomowych, będących już z nazwy wyższym etapem edukacji, pojawia się w gronie wykładowców coraz więcej kadry fachowej, legitymującej się jedynie magisterium, za to będącej wybitnymi specjalistami w swych dziedzinach, posiadającymi ścisłe związki z praktyką życia społecznego i gospodarczego.

Słabość kapitałowa polskiego przemysłu, na którą powołuje się, zresztą słusznie, świat nauki to tylko jedna strona medalu. Naukowcy nie są zainteresowani podejmowaniem prac dla gospodarki, bo dodatkowe wynagrodzenie można uzyskać łatwiej w dydaktyce – albo realizując godziny ponadwymiarowe w jednej uczelni, albo

też przyjmując etat w innej. I może dlatego większość patentów rodzi się teraz w firmach prywatnych niż w uczelniach technicznych.

Ścisłe związki z praktyką życia społecznego i gospodarczego w świecie nauki są nieczęste, zaś często stanowią powód do uszczypliwości jako zajęcie niegodne akademika. Kiedy dwóch adiunktów byłej Politechniki stworzyło w Zielonej Górze firmy na światowym poziomie technologicznym usłyszałem zgryźliwy komentarz: rzemieślnicy. Dziś wiemy, że zapracowali na to nie publikacjami warunkującymi awans naukowy (choć i takie były), ale żmudnymi badaniami i uporem. Nie wstyd za to profesorom występować publicznie w charakterze „gadających głów”, językiem taniej publicystyki ogłaszać wielomilionowemu audytorium to, co średnio rozgarniętemu widzowi wydaje się od dawna oczywiste. Znaczny procent profesury nie umie posługiwać się komputerem, nie korzysta z internetu i baz danych dotyczących swej specjalności naukowej. Nic dziwnego, że denerwują się też profesorowie, którzy na swe nazwiska naprawdę zapracowali.

Uczelnie tworzą kodeksy etyczne, formułują misje akademickie, programy poprawy jakości kształcenia, strategię rozwojową – jednak rzeczywistość jest daleka od haseł i pobożnych życzeń i nijak nie przekłada się na kondycję nauki polskiej i wartości kształcenia.

Spadek prestiżu świata akademickiego to nie tylko brak reakcji polityków na liczne uchwały i rezolucje podejmowane przez najszacowniejsze ciała akademickie. Uczelnie powinna promieniować wiedzą i umiejętnościami, a jej pracownicy być autorytetami społecznymi. Rzadko jednak profesorowie zapraszani są jako eksperci, mający swą wiedzę służyć dobru publicznemu, diagnozować i naprawiać ważne dziedziny życia społecznego i gospodarczego. Za to chętnie przybierani są jako dekoracja różnych mniej istotnych gremiów opiniotwórczych. Trzeba przy tym pamiętać, że od 1989 roku każdy parlament wyłoniony w demokratycznych wyborach miał w swym gronie zawsze spore lobby profesorskie. Nie inaczej było z ekipami rządowymi. A jednak ta obecność nie przekładała się na jakość polskiej demokracji. Za to postawie będący profesorami w „argumentacji” polemicznej nie stronią od taniego populizmu czy wręcz kłamstwa.

Zrelacjonowałem pokrótce główne tezy rzeczników zmian ustroju szkolnictwa wyższego, o innych pisaliśmy wcześniej. W *Faktach, poglądach, opiniach* przytaczamy aż nazbyt często opinie autorytetów naukowych i publicystów, krytykujących codzienność polskiego życia akademickiego.

Klimat wokół szkolnictwa wyższego i polskiej nauki zmienił się wyraźnie. Tu już pachnie rewolucją! Uczestnicy internetowych dyskusji, będący przeciwnikami obu projektów *prawa o szkolnictwie wyższym*, pragnący radykalnych zmian, potrafili się zorganizować i tworzą Niezależne Stowarzyszenie na Rzecz Nauki i Edukacji, które skupia również profesorów – tyle, że pracujących na zagranicznych uczelniach. Są bardzo aktywni, docierają do wszystkich gremiów opiniotwórczych, także do przygotowujących ustawę, przekonują argumentami o konieczności zmian.

Po powrocie z olimpiady w Atenach ubolewano nad upadkiem polskiego sportu, bo tak słabych wyników nasi reprezentanci nie osiągnęli od dawna. Porównując jednak miejsca rankingowe polskiego sportu i polskiej nauki w świecie (nawet przy założeniu dużego błędu na liście rankingowej), trzeba zauważyć, że sport ma się całkiem dobrze! I tylko trzeba by się zastanowić, czy ministerstwo nie powinno zmienić nazwy: Ministerstwo Sportu i Nauki. Bo nauka to pouczający sport...

Andrzej Politowicz